Nr. 33. Lwów dnia 14. Września 1872. **Rok I.**

Wychodzi w każdą Sobotę.
Cena prenumeracyjna w całej Austryi: rocznie 8 zlr.—półrocznie 4 złr. — kwartalnie 2 zlr
w Niemczech: rocznie 5 tal.—półrocznie 2 tal. 15 sgr. - kwartalnie 1 tal. 8 sgr.
we Francyi: rocznie 21 fr.—półrocznie 11 fr. — kwartalnie 6 fr.
Numer pojedynczy 20 ct.
Redakcya: Ulica wałowa Nr. 19.

ŚWIT

Główne ajencye: we Lwowie księgarnia K. Wilda, w Krakowie księgarnie J. Wilda i A. Nowoleckiego, w Poznaniu księgarnia Żupańskiego.
Rękopisy nie przyjęte do druku zwracają się w razie zażądania.
Szanownych autorów i nakładców, życzących sobie znaleść w *„Świcie“* wzmiankę lub rozbiór krytyczny swych dzieł prosimy o nadsełanie Redakcyi egzemplarzy takowych.

TYGODNIK NAUKOWY, LITERACKI I ARTYSTYCZNY.

MIĘDZY NIEBEM A ZIEMIĄ,

POWIEŚĆ

przez

MICHAŁA BAŁUCKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

Adam zostawszy sam na sam z Ewą na łódce czuł się nieco wzruszony i zmięszany, mimowoli obejrzał się za Stasią, jakby potrzebował w tej chwili przypomnieć sobie jej obecność. Ewa zauważyła to i rzekła:

— Może panu zrobiłam tem przykrość rozdzielając go ze Stasią; ale łódź nie życie i mimo zgodności charakterów jazda nie wypadłaby państwu pomyślnie. Już drugi raz dzisiaj przypadek łączy pana ze mną.

— Jakto drugi raz?—spytał Adam wesoło, chcąc tem zamaskować dziwne wrażenie, jakie na nim robiło zbliżenie się do Ewy.

— A owa żniwiarka, która mi pana radziła na męża. Czy pan zapomniałeś? Uważałam, jak to pana przestraszyło.

— Czy pani nie chce, aby się pani bano?

— Nie chciałabym, abyś się pan bał.

Łódka Zygmunta szybowała szparko po gładkiej wodzie i skręciła ku Ewie. Spostrzegła to i wziąwszy w rękę wiosło zrobiła kilka silnych poruszeń, by się utrzymać w pewnej odległości.

— Widzisz pan, pan Zygmunt mnie się nie boi, bo natrętnie płynie wciąż ku nam. Ale, ale, o czem panowie rozmawiali dziś na ganku po obiedzie? Proszę być szczerym, panie Adamie. Pewnie o mnie?

— Tak.

— I Zygmunt żalił się jak zwykle?

— Nie. Tym razem mówił coś więcej. Chce od pani stanowczego słowa.

— Słowa? Czy ciotka jego już umiera?

— Nie, ale ma nadzieję otrzymania od niej pożyczki.

— Trud niepotrzebny — rzekła kwaśno.

— Dlaczego? On panią tak kocha.

— Ale ja go nie kocham. A to przyznasz pan jest nieznośnem. Wolałabym szaleć z miłości za obojętnym, niż znosić natręctwo człowieka, któregobym nie kochała. To zdaje się panu Zygmuntowi brakiem serca. Wszyscy mnie tu o to posądzają. A pan, panie Adamie, co sądzisz o mnie?

— Gdybym znał tajemnice serca pani, mógłbym dopiero wtedy wydać sąd bezstronny.

— Pytaj się pan. Ja nie mam sekretów. Mówię zawsze to, co myślę i dlatego nikt nie chce wierzyć w to, co mówię. Tak ludzie przyzwyczaili się do nieprawdy. Więc cóż chciałbyś pan wiedzieć?

— Czy pani kochałaś już kogo?

Ewa zamyśliła się — potem rzekła:

— Nie wiem, czy to można nazwać miłością, ale jest jeden człowiek, który zrobił na mnie silniejsze wrażenie, niż wszyscy, których znałam dotąd; którego miłość czyniłaby mnie dumną i szczęśliwą, o którego mogłabym być zazdrośną. Chcesz pan poznać tego człowieka?

Adam wahał się z odpowiedzią; w chwili kiedy Ewa z takim zapałem mówiła o owym nieznajomym, uczuł jakby rodzaj zazdrości i nie chciał poznać tego szczęśliwego; ale ciekawość przemogła i rzekł:

— Któż on taki?

Spojrzyj pan tam — rzekła wskazując na zwierciadło wody, w którem odbiły się ich postacie. Adam zarumienił się mocno, w uszach uczuł szum i ogród zdawał się przewracać w oczach jego. W tej chwili Zygmunt przybił z łodzią i zrównał się z nimi, a Stasia rzekła:

— Płyńmy tak razem. Adasiu! prawda, jak tu pięknie i dobrze?

Adam kiwnął głową i bąknął coś niewyraźnie. Nie śmiał przyznać się w obec Stasi, że mu było dobrze w tej chwili.

— A pan, panie Adamie, nie poprobujesz wiosłować?—spytała go po chwili Ewa.— To nie tak trudno. Spróbuj pan — i dała mu wiosło w rękę.

Adam wstał; ale jakoś nie szło mu. Ręka niewprawnie i nieradnie kierowała wiosłem i nie mógł utrzymać równowagi na kołyszącej się łodzi.

— Czekaj pan, pokażę panu.

To powiedziawszy wzięła wiosło z jego ręki i poczęła nim robić tak szybko, że łódź pomknęła znacznie naprzód po za wyspę i skryła się przed oczami tych, którzy w drugiej łodzi siedzieli.

— A teraz próbuj pan — rzekła Ewa dając mu wiosło i patrząc mu w oczy takiem spojrzeniem, że się mu gorąco robiło od tego.

Wziął wiosło i zanurzywszy je w wodę chciał się odepchnąć od brzegu wyspy, pod który podjeżdżali. Ale że wiosło za płytko zanurzył, prześliźgnęło się po wierzchu wody a on straciwszy równowagę upadł. Byłby niechybnie wpadł w wodę, gdyby go nie była przytrzymała Ewa. Ale na silnie zakołysanej łódce i ona straciła równowagę i upadła z nim na łódź. Wnet zerwała się; ale w tej krótkiej chwili upadku głowa jej znalazła się tak blisko Adama, że ogień jej rozpalonych policzków uczuł na swojej twarzy. Dotknięcie to ogniem przeleciało po jego nerwach. Wstawszy przepraszał Ewę za swoją niezręczność i dziękował jej.

— O! nie przebaczę panu, bo jak powiedziałam, daruję zapomnienie, ale niezręczności nigdy. Chyba pod jednym warunkiem.

— Przyjmuję każdy.

— Że pan będziesz tu przyjeżdżał na naukę wiosłowania. Zgadzasz się pan? Słowo! — i podała mu rękę.

— O, pani! — rzekł wzruszony i ująwszy jej pulchną, białą dłoń pocałował ją namiętnie.

Cała ta scena trwała tak krótko, że gdy druga łódź zbliżyła się ku nim, Adam miał już czas ochłonąć ze wzruszenia.

Chłód wieczorny i głos matki Stasi przywołały ich do brzegu. Niezadługo po herbacie Stasia z matką i Adamem pożegnała gospodarza i jego córkę i zabrali się do wyjazdu. Gdy Adam żegnał się z Zygmuntem ten mu rzekł:

— Cieszę się, że poznałem pannę Stanisławę. To anioł kobieta. Byłbyś niewdzięcznikiem, gdybyś zawiódł to dziewczę.

Adam nic nie odpowiedział. Wyrwał się co prędzej z rąk Zygmunta i rozgorączkowany, roztargniony wsiadł do powozu. Ewa patrzała na niego z ganku i gdy już powóz miał ruszać rzekła:

— Do widzenia!

VI.

W kilka dni po wycieczce do Zarzecza znajdujemy Adama w jego pracowni przed obrazem. Stasia pozowała mu na klęczącą Rzymiankę; obok niej siedziała matka i czytała na głos Irydyona. Troje tych ludzi w schludnym pokoiku, ogródek oświecony słońcem, który widać było przez otwarte okno, wszystko to składało się w harmonię, przedstawiało się jak obrazek cichego szczęścia i spokoju. Tak się zdawało na oko. Ale ktoby uważniej przypatrzył się temu wszystkiemu, spostrzegłby, że spokój był pozorny tylko. W oczach Adama widać było niezadowolenie i niesmak, cisza i spokój ciężyły mu a nawet zdawały się go niecierpliwić, pracował mechanicznie, bez zapału i zamiłowania, a spojrzenia, które od czasu rzucał na model, były tak zimne i obojętne, że Stasi serce się ściskało od tych spojrzeń. Uważała, że Adam od kilku dni zmienił się bardzo, że stał się dla niej nadzwyczaj chłodny a nawet nieraz opryskliwy. Nie dała mu poznać, że ją to boli, bała się pytać o przyczynę. Taiła się nawet przed matką ze swojem spostrzeżeniem, a ta utajona boleść jeszcze więcej ją gnębiła. Ten stan wewnętrzny odbił się mimowoli na jej twarzy i nadał jej wyraz tym boleśniejszy, im bardziej starała się ukryć cierpienie i zamaskować je przymuszonym uśmiechem. Był to prawdziwy uśmiech męczennicy i Adam jako artysta powinien był być kontent w tej chwili ze Stasi, choćby jako z modelu. Mimo to twarz jego wcale nie wyrażała zadowolenia. Wziął się bowiem do malowania tego obrazu nie z własnej chęci, ale na prośbę Stasi, która go do tego namówiła widząc, że od kilku dni nie może zdecydować się, które szkicę pierwej rozpocząć. On, co zwykle był taki pilny, pracował z gorączkową prawie skwapliwością, teraz od kilku dni nie miał pendzla w rękach, narzekał na brak natchnienia do pracy, na złe usposobienie i często wychodził z domu na kilka godzin. Stasia instynktowo przeczuwała coś złego w tem jego dziwnem usposobieniu, w niepokoju jego i z trwogą obserwowała jego postępowanie. Dziś rano, gdy weszła do jego pracowni zastała go trzymającego w ręku szkicę owego obrazu: „Między niebem a ziemią“ i wpatrującego się w nią w takiem zamyśleniu, że nie spostrzegł nawet jej wejścia. Gdy się odezwała, wstrząsnął się cały i przestraszył jej głosu, i zmięszany odłożył szkicę na bok.

— O czemże się tak zamyśliłeś? — spytała go łagodnie.

— Tak, przeglądałem szkice... nie wiem, na którę się zdecydować, którę zacząć. Myślałem, czyby nie dobrze było tę rozpocząć — mówiąc to wskazał na szkicę, którę trzymał w ręku.

Stasia nie wiedzieć dlaczego miała wstręt jakiś do tego obrazu i rzekła z pospiechem.

— O, nie ten, nie ten...

— Dlaczego? — spytał i wpatrzył się w nią zdziwiony.

Zarumieniła się na to pytanie i odrzekła:

— Nie wiem, ale zdaje mi się, że ten obraz mniej się będzie podobał. Jest w nim myśl codzienna, powszednia.

— To zależeć będzie od wykonania — odrzekł kwaśno.

— Tak, to prawda; ale dlaczegoż masz tyle czasu i pracy poświęcać temu obrazowi, gdy tymczasem możesz wykonać tamten.

— Nad stawem... czyli jak ty chcesz: Rywalki.

— Nie, ten obraz mi się także teraz nie podoba. Treść jego robi na mnie teraz przykre wrażenie.

— Zmienne masz gusta, jak widzę. Przed kilkoma dniami uniosłaś się nad tym obrazkiem.

— Zachwycała mnie prawda z jaką oddałeś boleść opuszczonej dziewczyny. Dziś sama nie wiem czemu zachwyt przemienił się we współczucie dla tej biednej, jakby była żywą, jakby była moją siostrą. Nie śmiej się ze mnie mój Adasiu, ale tak przejęłam się losem tej dziewczyny, że przykroby mi było, gdybyś tę jej boleść na publiczne widowisko wystawił. Wydawałoby mi się to pastwieniem nad nią.

— Egzaltujesz się moja droga.

— Czyż to cię gniewa, że obrazy twoje w moich oczach w żywe przemieniają się sceny? To przecież cieszyć cię powinno, że w obrazach tych złudzenie tak bliskiem jest prawdy.

— Więc któryż obraz radzisz mi zacząć? — spytał jej z pewnym odcieniem niecierpliwości — kiedy do jednego wstręt czujesz, nad drugim znowu zbyteczną litość.

— A o Rzymiance zapomniałeś? to obraz, który wart twojej pracy. Dużo kobiet co dzień cierpi i zazdrości z miłości; ale nie każda zdolna oddać życia za wiarę Jest to myśl wzniosła, poważna, niezwyczajna i jestem pewną, że ci ten obraz zrobi sławę.

Adam uśmiechnął się ironicznie.

— W twoich łaskawych oczach — rzekł. — Obraz ten potrzebuje sił, na jakie mnie nie stać.

— Wszak szkicując ten obraz wierzyłeś w twe siły. Dlaczegoż dzisiaj wątpisz?

— Dlaczego? Bo człowiek ten, który był wczoraj, niepodobnym do tego, jaki jest dzisiaj. Są chwile, w których odbiega nas ochota do wszystkiego na myśl o śmierci... i w obec tej myśli maleją aż do nicestwa wszystkie nasze największe pomysły. Są także chwile, w których ten, co czuł się na siłach zatrząsnąć, jeżeli nie światem, to choć milionami serc, upada bezsilny pod ciężarem zwątpienia. W takiem usposobieniu ja teraz jestem... nie wierz, abym mógł stworzyć coś wielkiego, a choćbym mógł stworzyć coś, co u ludzi nazywałoby się może wielkiem, to nie wiem, czy warto dla tej urojonej wielkości poświęcać przyjemności życia, męczyć się, pracować. Kto mi zaręczy, że sława, którę zyskam, warta tego, co dla niej poświęcam?

— Adasiu!— zawołała z bogobojnym przestrachem Stasia—co ty mówisz? Jakież to straszne myśli opętały cię? Tobie się coś stać musiało? Powiedz mi, w jaki sposób popadłeś w takie zwątpienie?

— Patrzę trzeźwo... przejrzałem... to cała tajemnica.

— O, nie, to nie to. Ty jesteś chory na duszy, mój drogi. Tobie coś dolega.

Uśmiechnął się cierpko i rzekł:

— Przypuśćmy że tak jest, to cóż poradzić na to?

-- O, jest lekarstwo.

— Masz lekarstwo na chorobę duszy? — spytał drwiąco.

— Mam — odrzekła ze stanowczością. — I mnie nieraz dziwne, przykre myśli nachodzą.

— I cóż wtedy robisz?

— Pracuję. Ty się śmiejesz? A jednak to prawda, wielka prawda. Praca daje nam zadowolenie, uspokojenie a często zapomnienie myśli. które najczęściej lęgną się w duszy w chwili bezczynności, jak robactwo w stojącej wodzie. Wierz mi. Zabierz się na seryo do pracy. a odżyjesz, odnajdziesz humor i ochotę do życia. Z początku trzeba się przymusić, przezwyciężyć, ale potem będzie ci lepiej.

Prosta i szczera ta rada wydawała się Adamowi dziecinną i chciał ją zbyć obietnicą, że od jutra zacznie pracować. Ale Stasia nie przystała na odkładanie i prosiła Adama, by zaraz wziął się do malowania sceny w katakombach. Napróżno wymawiał się, że nie ma potrzebnych modeli, od których musi zacząć obraz.

— Masz mnie — rzekła — zaczniesz odemnie. Resztę znajdziesz sobie później.

— Ależ trzeba ci będzie przeczesać się inaczej na Rzymiankę — rzekł ratując się od przymuszonej roboty.

— Przeczeszę się zaraz, to nie potrwa długo.

— Chciałem jeszcze przejrzeć Irydyona, z którego wziąłem po prostu myśl do tego obrazu.

— To ja ci będę czytać.

— Czytać i pozować... to nie będzie możebnem.

— Więc mama czytać nam będzie.

Prośba jej tak była natarczywa, że Adam przyparty jak do muru zdecydował się wreszcie rozpocząć ów obraz, który Stasia tak doradzała i usiadł do roboty, ułożywszy poprzednio Stasię w odpowiedniej klęczącej pozie, a matka uproszona przez córkę usiadła obok nich i czytała na głos Irydyona. (C. d. n.)

GARBUS Z BONONII,

poemat z wieków średnich

przez

WŁADYSŁAWA ORDONA.

(Ciąg dalszy.)

Jest kędyś dziwny rysunek, głęboki,
Piranesego płód mistrzowskiej ręki:
Po smukłej, giętkiej drabinie wysokiej
Architekt pnie się i na szczebel cienki,
Zda się, ostatni, staje już — bo oto
Przed nim jest przepaść; w głębi cień i błoto;
Lecz spojrzyj wyżej! Tam na ostrym skręcie
Drabina znowu i architekt na niej
Pnie się, łunatyk, twardo i zacięcie,
Aż znowu zwiśnie nad brzegiem otchłani,
I tak bez końca widza oko ima,
W nieskończoności rozciągnięte sinej,
Przepaści głębie i szczeble drabiny,
Aż zawrót schwyci oko i zatrzyma.
Tak myśl Allana po cierpień drabinie
Wstępuje wyżej, wyżej, coraz wyżej,
Aż nad przepaścią stanie i w niej ginie;
Lecz osłupiałą ból popędza chyży
I oświecają błyski piorunowe,
Wciąż nowe szczeble i przepaści nowe!
A mocniej niżli wszystkie inne głosy,
Brzmi Allanowi dotychczas nieznana
Rozkosz, co poi pogańskie niebiosy,
Myśl zemsty — córa najmilsza szatana,
Zemsty żądanej — i znów odpychanej!
Bo w duszy jego cud dziwny się iści:
Miłość podaje ręce Nienawiści
I władzę nad nim biorą na przemiany,
A czasem złączą się tak bratnie szałem,
Że dwie te, zdają się być jednem ciałem.

Z tą srogą burzą, wciąż odmiennej treści,
Młodzian bluźnierczo kryje się i pieści;
Gdzie dotknie tylko, krwi kropla wytryśnie,
O co zapyta — jęk mu odpowiada,
Aż wreszcie mdlejąc chyli się i zwiśnie
I w osłupiałą nieczułość zapada.
Tak w lesie Tassa kiedy miecz rycerza
W ślepej wściekłości po drzewach uderza,
Z pod każdej kory bije krwi ulewa,
Lub łza z pod mocnej jego tryska ręki,
Aż naraz jękną wszystkie lasu drzewa:
Stój! ciężkiej naszej ulituj się męki!...

Tymczasem w mieście szła wieść z ust na usta,
Jak żartem pełnym rozkosznej swawoli,
Skarciła piękna Bianka Foscoli
Miłość garbusa. Lecz dziewczyna pusta,
Jak gdyby na nią padł cień tej niedoli,
Co jak noc duszę Allana odziała,
Niechętnie z drżeniem prawie wspominała
W obec ciekawych i chrzcielnicę ową,
Gdzie nędzny garbus stał z schyloną głową,
Czekając na nią, — z duszą w oczach białą,
Jakby miał przyjąć Pańską krew i ciało;
I grosik wzgardy, ów grosik lecznicy,
Pod którym zgięła się młodziana ręka.
Słuchając, śmiały się Bianki druchny.
A dziw! smutniała coraz ta panienka,
Rzekłbyś, że trwożne przeczucie ją nęka.

*

Wieść jednak rosła. Każda złość lub psota
Nowym ją strojem obdarzały w drodze,
Próżniactwo skrzydła przypinało nodze
I przypędziło pod Allana wrota.

Lecz od nich z niczem poszła rozgniewana.
W samotnym domu nie było Allana.

Gdzie zginął, różnie zgadywali różni:
Że życia pozbył — że skrył się na puszczy;
Kędyś go kupcy widzieli podróżni
W stronie, gdzie święty grób Chrystusa Pana;
To pewna tylko, że postać złamana,
Starego mistrza — z domku z po za bluszczy
Wśród nocnej ciszy uśpionego grodu
Patrzała co dzień łzawo w stronę Wschodu.

II.

Czas minął — boski Czas — ta Lety rzeka,
Co wolno w otchłań wieczności przecieka;
Nurt zapomnienia, w którym toną smutki
Bole i rany — co wieczne być miały,
Toną zaklęte nawet niezabudki
Siane po brzegach; Czas — ten obłok biały
Sunący lekko po jasnym błękicie,
Dla serc radośnych zbyt skory i krótki,
Orzeł z wysoka patrzący na życie.

W Bononii czas ten wszystkim był wspaniały,
Bo wielom przyniósł, nic nie wziął nikomu.
Jednemu tylko sercu wśród sług roju,
Wśród bogactw, w pysznym senatorskim domu,
Czas ten odebrał błogi sen spokoju.

Już noc zapadła. Ta noc południowa,
Przed którą ledwo słońce uciec zdoła,
Co nie zna zmroku ani snów anioła,
Lecz rozkochana, wonna i wesoła,
Miłość na wrzącem łonie swojem niańczy
I słucha szeptu kwiatów pomarańczy.

Foscolich pałac cały tonie w mroku,
Kształt mu olbrzymi nocna daje pora,
Narożne tylko, wysokie okienko,
Patrzące w ciemne głębiny jeziora
Przepuszcza smugę światła drżącą, cienką
I przystęp daje ciekawemu oku.
Tam, w pełnej kwiatów komnacie dziewiczej,
Przy świetle lampki błękitnej przyćmionem,
Cień się dwóch osób kołysze zwodniczy.
Jedna, to niańka, z obliczem zmarszczonem —
Lecz kto jest druga, ta z bijącem łonem,
Z którego białe zsunęły się rąbki,
Z królewskiem czołem, spojrzeniem gołąbki,
Zsunięta ciałem na marmur podłogi,
W ciemność tonąca źrenicą rozdartą,
Z głową na niańki swej kolanach wspartą?
Toż Bianka?... Może... Zostały te wdzięki,
Co kiedyś na świat się patrzyły hardo,
Okiem miłośnie zapalały męki
I w pożar wzrosłe gasiły — pogardą,
Taż sama białość alpejskiego śniegu,
Jak on przeczysta, jak on lodowata,
Lecz dzisiaj, dziwna rzecz! — ta pychy szata
Znikła gdzieś — spadła z dumnej Bianki twarzy,
Oko to świeci, grzeje — lecz nie parzy.
Jak biały łabędź, z daleka od brzegu,
Straciwszy z oka gniazdo, pierś wytęża
Krzykiem ku dziatwie, co się w trzcinach chowa,
Tak jej myśl błędna, nie poznając siebie,
Krzykiem przestrachu wybuchnąć gotowa,
Echa czekając na ziemi lub w niebie:
Moc ją tajemna łamie i zwycięża.
I teraz wzniosła niespokojnie głowę
I pochyliła natężone ucho
W przestrzeń za oknem, w ciszę, w ciemność głuchą,
Palec na ustach kładąc w znak milczenia...

Nic!... tylko szemrzą fale lazurowe
A na nie śniegiem lecą w pośród cienia
Z drzew obciążonych kwiaty migdałowe
I motyl stuka w okno do płomienia.
Więc wzrok dziewicy zapalony — gaśnie,
Twarz się ciemnością zawodu powleka
I łez nie może wstrzymać jej powieka.
— „To nie on, szepcze, wczoraj miesiąc właśnie,
„Jak tu przypływa i jak ztąd ucieka;
„Pieśń bym słyszała — poznam go po pieśni,
„Jak twarz, odgadnę, chociem nie widziała,
„Bo oko jego pewnie jak pieśń pała.
„To nie on!"
I dłoń spuściła boleśniej
Jakby nadziei swojej grób grzebała.
— „Dziecko!" zawoła niańki głos złamany,
„Na pierś Madonny! To urok być musi.
„Serduszko twoje oblega i kusi
„Rodu ludzkiego nieprzyjaciel znany."
Tu wystawiła palce dwa przed siebie.
— „Znam wszystkie miejskie rycerze i pany,
„Lecz sam Lucifer przychodzi do ciebie!
„Bo żadna nigdy nie brzękła gitara,
„Chociażby nawet miała złote struny,
„Jak ta, na której gra ta twoja mara
„I nigdy pieśni równie słodkie tony
„W noc wielkanocną nie zabrzmiały w niebie;
„O dziecko, szatan przychodzi do ciebie!"

Twarz Bianki ciemnym spłonęła rumieńcem.
— „Nie bluźnij niańko! zawoła surowo,
„Wszak brałam ciało i krew Chrystusową,
„Nie jednym ołtarz obdarzyłam wieńcem,
„Złożyłam grzech mój w spowiednika ucho,
„I wyszłam biała z ręki spowiednika,
„A śpiewak okna mego nie unika!
„Co dzień łódź jego do muru dotyka.
„Przypływa, skoro w domu całym głucho
„I wrota raju przedemną odmyka.
„Czy żąda czego? nigdy się nie zbliża.
„By go odpędzić — zbyteczny znak krzyża.
„Zaledwo wszystką krew w mem ciele wzruszy,
„Zanim zaklęta gitary urokiem
„Ocknę się, w ciemność rzucę błędnem okiem,
„Już wiosło pluśnie, jak zbudzona ryba
„Smugą się srebrną zmarszczy wodna szyba
„I postać jego jak cień się rozwiała!...
„O niańko! szatan żąda tylko duszy,
„On nigdy nawet nie zażąda ciała,
„A jabym duszę z ciałem mu oddała!..."
— „Jak chcesz Siniora," odpowie nieśmiało
Niańka — „lecz jeśli to człowiek jak drugi,
„I z grzesznej matki wziął jak inni ciało,
„To chyba przyszedł kędyś z drogi długiej,
„Ze stron dalekich, gdzieś z pogańskiej ziemi,
„Gdzie ryby cudne, z głowami ludzkiemi,
„W morzu śpiewają — a łoza zielona
„Rodzi grające, jak kapela, grona,
„I słodkie brzmienie w powietrzu rozprasza:
„O! bo pieśń jego, pieśń wcale nie nasza,
„Choć słowa nasze. Słyszałam górala
„Śpiew, co jak wichru jek słyszy się zdala;
„W Wenecyi pięknej byłam także z młodu,
„Znam Barkarolę, co jak gołąb grucha,
„I w San Gennaro, gnieździe mego rodu,
„Skocznej kanzonie nadstawiałam ucha,
„Raz nawet w świętem mieście, co Bóg zliczy
„Na odkupienie grzesznej duszy mojej,
„Z pielgrzymim tłumem u świętych podwoi
„Stałam w kościoła Piotrowego progu
„I tam słyszałam potężny i rzewny
„Śpiew świętych chłopców poświęconych Bogu,
„Którzy swym matkom raj kupili pewny.
„Znana mi nuta nabożna i gminna,
„Lecz ta pieśń, pani, o to pieśń jest inna!
„Wszystkie w niej nuty grają po kolei,
„Jak barw siedmioro igra w pasku tęczy,
„Modli się, grucha i tęskni i jęczy;
„Jak Mandragory kwiat lub Azalei
„Kiedy się dotknie ich nóż ogrodniczy,
„Płacze, — jak zdradny sok z maku nasienia,
„Duszę usypia — a krew rozpłomienia,
„Mnie starej nieraz żar sypie do powiek;
„Jak chcesz, Siniora, lecz to nie nasz człowiek!
„Zwyczajów naszych całe nieświadomy,
„Rycerz, dworzanin, nawet Lew antyniec
„Jużby się wkradł był w pałacu dziedziniec
„I w rękę moją złożył dar kryjomy;

„Lecz on!... napróżnom kiedyś czatowała;
„W tę noc nie przybył — i tyś zakazała.“
— „Cyt!...“ szepnie Bianka, nie tchnąc, drząca cała.

Cisza w powietrzu przezroczem wisiała,
Sad zagłuchł, lampka zgasła, zgęstły cienie!...
(C. d. n.)

KSIĄDZ HUGO KOŁŁĄTAJ

i jego prześladowcy,

szkic biograficzno-krytyczny

przez

HENRYKA SCHMITTA.

(Ciąg dalszy.)

W liście do Leona, Stanisława i Feliksa Hulewiczów, pisanym 7. września 1793 powiada (str. 94. 5. II.): „W tym rzeczy stanie (t. j. po odarciu z dóbr i urzędu) znajdując się, tę tylko mam dla siebie pociechę, że wśród powodzeń i pomyślności domowej nie przeżyłem ojczyzny mojej. Jestem tak nieszczęśliwy, tak ogołocony z wszelkiej możności, a tak lepiej nierównie czuć mogę tę stratę i dokładniej poznawać charakter współziomków. Kiedy się zastanawiam nad szanowną przychylnością JMPnów, najduję wprawdzie wiele pociechy dla serca mego w ich oświadczeniu, lecz pozwólcie, abym Im odpowiedział podług rzetelnego mego czucia: *nolite flere super me, sed super vobis, filiis et filiabus vestris.* Nieszczęście moje przeminie, lecz nieszczęście Polski i Polaków na zawsze trwać będzie. Zbyt mała jest ofiara ze mnie dla prawdy i sprawiedliwości. Ale niepodobna, żeby wyższa nad wszelką moc ludzką sprawiedliwość nieba nie ścignęła kary na tak zapamiętałe postępki. Chlubili się Targowiczanie, że uratowali ojczyznę, kiedy na nią tak wielką zbrojną siłę obcego wojska wprowadzili. Najlepiej jest wiadomo JW. i WPanom, jak pragnąłem, aby naczelnik tej roboty postrzegł się w samych początkach, jak gdy zapamiętałość jego trwała w uporze nieporuszona, umknąłem się z wielu innymi dobrze myślącymi, aby nie dać przyczyny rozdwojenia, a w rozdwojeniu podziału kraju nie przyspieszyć. Tryumfowali oni w największej przeciw ojczyźnie zbrodni. Napróżno ostrzegałem o gotującem się niebezpieczeństwie. Szydzili z poczciwych przestróg. Gdzież teraz są? gdzie ich i nasza ojczyzna? Mniemani zbawiciele swobód Polski porzucili ją w najgorszym czasie, wydali na łup zbrodni i chciwości. Król ulega wszystkiemu, ale ulega czynnie“.... „Czekam spokojnie dalszego losu. Ojczyzna więcej mnie dotyka, jak me własne interesa. P. Benedykt (Hulewicz) pisał do mnie. Wyznał w goryczy serca swego, że się omylił, wyznał, że ja dobrze sądziłem o ludziach, których on podług zapamiętałego swego uprzedzenia poczciwymi być mienił. Ale ten cały żal jest zapóźny. Ja mu darowałem z serca błąd jego. O gdyby on sam sobie mógł go darować, gdyby mógł być wolny od zgryzoty na całe życie! Jego mecenas (Szczęsny Potocki) już więcej nie jest w Petersburgu. Z błędów publicznych wpadł w niezliczone błędy prywatne. Lichemi awanturami chce zatrzeć zgryzotę sumienia. Wyjechał do Hamburga, gdzie za nim pospieszyła p. Witowa. A tak mniemany obrońca swobód i całości swego narodu bawi się jak płochy młodzik.“

Przytoczone w tych wyjątkach szczegóły ważne świadczą najlepiej, że patryoci chcieli właśnie wszelkimi możliwymi środkami zapobiedz waśni wewnętrznej, lecz gdy zapamiętałość przeciwników sprowadziła najcięższe na kraj klęski a w końcu i podział tegoż, nie mogli przecież w książce, opisującej przebieg wypadków z tego czasu, przyjąć w jakimś szalonym napadzie wspaniałomyślności, na siebie winę i odpowiedzialność za wszystko, aby tym sposobem osłonić płaszczem chrześcyańskiej miłości zbrodnicze knowania i czyny swych przeciwników a to w celu niby ochronienia narodu od waśni wewnętrznej! Czy ich własne a grube błędy, jak je nazwał Siemieński, byłyby sprowadziły katastrofę drugiego podziału Polski, jest kwestyą jeszcze nie rozstrzygniętą, lecz za to nie ulega już najmniejszej wątpliwości, że intrygi ich przeciwników w sejmie i po za sejmem i późniejszy spisek uknuty z Moskwą, cios śmiertelny zadały ojczyźnie i ostatecznie spowodowały jej zagładę.

Zarzuty czynione książce tej wymierzył właściwie Siemieński przeciw Kołłątajowi, który, według twierdzenia jego, główną sobie zostawił redakcyę tej pracy zbiorowej. Tym sposobem chciał zwalić na niego winę zaszczepienia wewnętrznej w narodzie waśni, której echo dziś się jeszcze ma odzywać. Lecz i tu dopuścił się nierzetelności w orzekaniu na podstawie świadectw już znanych, ponieważ nie raczył uwzględnić listu jego z 9. Września 1793, pisanego do ks. Dmóchowskiego, z którego widać, że Kołłątaj nie musiał mieć głównej redakcyi tej książki, jeżeli mógł się uskarżać, że pisane przez innych rozdziały szły do druku „b e z r z u c e n i a o k a j e g o n a n i e“, chociaż swoją pracę poddawał egzaminowi współpracowników. Że zaś kochając szczerze ojczyznę i pragnąc jej odbudowania, był przeciwny zaszczepieniu waśni wewnętrznej, rozrywającej siły narodu, i takową za szkodliwą poczytywał, świadczy dobitnie ustęp z tego samego listu (str. 98. T. II.), w którym powiada: „Jeżeli uwagi moje przyjmiesz, chciej z swego rozdziału wyrzucić wszystkie przykre ugryzki dla duchowieństwa i specyfikacyę różnych imion, które także uszczypliwie umieściłeś tam, gdzie mówisz, z jakich się osób składa konfederacya.“

XVIII.

W dalszym ciągu swych zarzutów twierdzi Siemieński, że Kołłątaj, pod świetnemi godłami dobra ojczyzny i poświęcenia się dla ogółu, umiał pamiętać o sobie, i że owe piękne słowa i frazesy, „które sypały się tak obficie z pióra jego“, obałamucały opinię publiczną, która „nie zapuszczając się głęboko w prawdziwe pobudki jego, otoczyła go tą samą aureolą, jaką otaczała czoła prawdziwych i szczerych patryotów“. Gniewa się zaś na tęż „prawie powszechną opinię“ i na historyków, że miasto się radzić tak ważnego bo „prawie współczesnego dokumentu“, jakim jest zdaniem jego Linowskiego list do przyjaciela, poczytali tenże za „pamflet

szarpiący sławę popularnego ks. Hugona". Historykom wytyka w dodatku, że szanując opinię o ks. Kołłątaju, „nie uwzględnili okoliczności i faktów, mogących ją bardzo modyfikować", i kończy utyskiwaniem, „że popularności służy przywilej pozwalania sobie takich zboczeń i wykroczeń, jakich człowiekowi z najprawszym charakterem, spełniającemu sumiennie lecz bez rozgłosu obowiązek obywatelski, na suchoby nie uszły."

Gdyby prawdą było, co Siemieński w powyższym wypowiedział zarzucie, trzebaby rzeczywiście podzielać oburzenie jego przeciw Kołłątajowi, który osłaniając samolubne swe dążenia dekoracyjnemi godłami miłości kraju i poświęcenia dla niego, w rzeczy pamiętał głównie o sobie, a szermierząc mężnie pustymi choć pięknymi frazesami, wyzyskiwał dobrą wiarę tych, co uwiedzeni jego udanym patryotyzmem, nie spostrzegli dróg krętych, jakiemi tajemnie zwykł był uganiać za własnym zyskiem. Występując z tak ciężkim zarzutem, powinien był Siemieński przytoczyć dowody, zwłaszcza gdy sam przyznaje, że powszechna prawie opinia oświadczała się zawsze na korzyść Kołłątaja, a tem samem gołosłowne twierdzenie czyjekolwiek, czy on Linowski czy Siemieński nie może wystarczyć. Siemieński nie przytoczył właściwie żadnych dowodów, ponieważ powoływanie się na takich świadków, jak Linowski, Bułhaków, Fryderyk Smitt lub im podobni, nie zdoła przekonać nikogo, kto bez uprzedzenia z góry powziętego porównał ich oszczercze oskarzenia z znanymi faktami i z całym przebiegiem życia Kołłątaja przez nich spotwarzonego. Że Kołłątaj który nie odziedziczył znacznego po przodkach majątku, miał w r. 1792 kilka wiosek należących do funduszu edukacyjnego, nabytych w części od Lelewela za gotowe pieniądze, w części zaś na publicznej licytacyi, a oraz kilka probostw, nie dowodzi bynajmniej, jakoby ze szkodą publiczną pamiętał o sobie, ponieważ w owym czasie nie brano nikomu za złe, jeżeli korzystał w sposób godziwy z łaski rozdawniczej króla lub innych, którym do tego służyło prawo. Pracując sumiennie w zawodzie publicznym miał równe innym prawo do tej łaski rozdawniczej, a nawet większe, ponieważ sterał zdrowie swe w pracy najuciążliwszej. Jeżeli więc nagradzano ludzi zasłużonych stanu świeckiego starostwami, a duchownych bogatemi prebendami, cóż w tem zdrożnego, że za tak mozolne prace, jakie Kołłątaj podejmował w komisyi edukacyjnej, dano mu kilka probostw? Dobra zaś należące do funduszu edukacyjnego kupił za pieniądze wzięte od matki swej i za pożyczone od Strassera, Prota Potockiego i innych, jak świadczą listy jego pisane do Strassera, Szczurowskiego, Hulewiczów i do wielu innych osób, umieszczone w zbiorze przez Siemieńskiego świeżo wydanym.

(C. d. n.)

KALEJDOSKOP

obrazy czasów i ludzi

przez

BERLICZA SASA.

(Ciąg dalszy.

Ledwieśmy stanęli u podjazdu i przekroczyli próg domu, wnet pani Starościna kazała posłać dworskich kozaków na wieś po muzykę; a także oświecić kagańcami dziedziniec, wytoczyć beczki napoju, urządzić na prędce zakąski. Skoczyła służba dworska lotnie i ochoczo. Zakłopotała się klucznica z całą swoją komendą piekiarnianych dziewcząt i mołodyc. Kucharzom i kuchcikom znalazła się także robota. Wszystko się krząta, zwija, biega, wre. Już płoną iskrzące się kagańce. Tryskają beczki piwem, okowitą, miodem. Lud gwarzy wesoło, wypróżnia czarki i szklanice za zdrowie swojej dobrej pani, rozlega się długim okrzykiem sercowej nie obłudnej wdzięczności. Aż tu walą ogromne stoły z jadłem, kosze z owocami, misy pełne pierników i makowników dla kobiet, zydle i ławy dla starszyzny. Usiedli gdzie się udało. Pożywają, co Bóg dał. Bankiet ożywia się rozmową, wołaniem, śmiechem. Wtem zadzwoniły cymbały, zapiszczały skrzypce, zahuczała bandura, uderzył bębenek. Okrzyk radośny powitał wirtuozów. Okrzyk z młodych pieśni wylęgły, pełny brzmień szczerych wesela i ochoty. Usiedli poważnie muzykanci. Nastroili jak umieli. Pogwarzyli coś z sobą i palnęli taką żywą, skoczną ukraińską szumkę, że aż same nogi zadrgały, same podkówki zadzwoniły, a prysiudy i hołubce posypały się rzęsisto. Wirują parobcy i dziewczęta. To się zwiną, to rozwiną znienacka, tworząc krzyże, koła, elipsy, linie frontem nacierające na siebie, lub odstępujące. Bankiet roztopił się w balu. Uciecha alimentarna przeszła w eteryczną. Lud się pokrzepił do lotu i kołował żwawo w powietrznych susach, lekki ciałem i duszą, bo mu wesoło było i dobrze.

I długo trwała zabawa. Pomimo późnej godziny pani Starościna zapomniawszy trudu podróży i lat ciężaru, nie odstępowała ludu swego, zachęcając młodych do tańca, starych do lampeczki, uprzejma, jak dobra gospodyni, tkliwa i troskliwa, jak najlepsza matka. Bo też była rzeczywiście matką poddaństwa swego i poninie pamięć jej we czci u ludu!

Nie jestem ja fantastycznym chłopomanem (nauczyłem się tego terminu w Galicyi). Nie ubliżam innym klasom społeczeństwa z przedsięwziętą myślą wyniesienia ludu w szczyt urojonej jakiejś doskonałości. Nie! Lud ukraiński ma także swoje przywary, bośmy go nie oświecili, w grubem prostactwie zostawili. Ale ma on i cnoty swoje, które było rzeczą naszą uznać, rozwinąć, uszlachetnić. Zdolność jego być wdzięcznym za względne i przychylne z nim postępowanie jest pewnikiem, na wsparcie którego mógłbym niejedno autentyczne zdarzenie przytoczyć. Tego mało — ta wdzięczność jego nie istnieje li tylko w obrębie pokolenia, które ją poczuło. Gdyby zdrój żywotworny spływa ona w głębsze warstwy rodów wieśniaczych, staje się tradycyą, mytem. Po stu leciech mówić będą jeszcze prawnuki tej lub owej osady o dobrym panie lub o dobrej pani, co ich pradziadów dobrodziejami byli. Czyliż my, synowie inteligencyi i przywileju, potrafimy zachować tak długo w pamięci naszej uznanie doświadczonego dobrodziejstwa? Wątpię!

XIII.

(Na wielkim zimnym świecie.)

Minęły cztery lata. Przepędziłem je w domu pani Starościny horodelskiej nad książką, dopełniając o ile

to było możebnem na wsi, umysłowego ukształcenia mojego pod przewodnictwem uczonego mentora p. Gusse'a. Jakkolwiek usilność jego była niezmordowaną, nie mogę powiedzieć, żeby się pomyślnym rezultatem pochwalić mogła. Poznałem ja wprawdzie gruntownie łacinę, przeczytałem w oryginale najcelniejsze płody rzymskiego piśmiennictwa z mozolną analizą form retorycznych i gramatykalnych według Brödera, wytłómaczyłem na język francuzki całe niemal kilkotomowe *Handbuch* Pölitz'a, rodzaj obszernej antologii, krytycznie traktowanej i wzbogaconej rysem biograficznym autorów. Nauczyłem się Malte-Brun'a od deski do deski. Tacyt, Herodot, Tukidides, Goldsmith, Robertson, Guiciardini i Ségur, nie mieli już dla mnie nic nowego. Z Lincuszem, Tournefort'em i Du-Candol'em, tymi wielkorządcami państwa Flory i Sylwy, żyłem w najlepszej komitywie, a geometrye Bugge i wyższą matematykę La Croix poznałem na wylot.

Któżby z powyższego sprawozdania nie wysnuł wniosku, że byłem uczony nad lata, a nawet nad potrzebę? A przecież... nic, *de facto* nie umiałem! Wszystkie naukowe zasoby kilkoletnią, usilną pracą nabyte, leżały w mojej głowie bez odbytu i zastosowania, gdyby towary w hurtownym składzie zamknięte. Wiedziałem wiele w teoryi, lecz nie potrafiłbym zrobić z tego praktycznego użytku. Materyał jaki posiadałem w sobie był martwym kapitałem, nie dającym procentu. Nic zatem nie umiałem — nic zgoła!

W pierwszych miesiącach r. 1829 ojciec mój powołał nas, p. Gussek'a i mnie, na Białą-Ruś, gdzie zwykle przemieszkiwał. Powodem tego wezwania była ta okoliczność, że zostałem zaliczony na służbę rządową w ministerstwie spraw zagranicznych, pod opieką dyrektora dyplomatycznego departamentu Rudofińskiego. Oprócz tego faworu czekała mię w Petersburgu nominacya *ex nunc* na kamerjunkra dworu z racyi gorliwego interessowania się mną feldmarszałka Dybicza, wielce ojcu mojemu przychylnego.

Dziwnie podziałał na mnie ten zwrot nagły losu mojego w piśmie ojcowskiem zapowiedziany. Chaotycznie poruszyły się we mnie najsprzeczniejsze wrażenia, obok radości smutek, obok nadziei obawa i ogniste porywy ku czemuś i tęskne przeczucia czegoś. Sam nie pojmowałem stanu mego. Bezmiar świata roztaczał przed wyobraźnią moją swe blaski i ułudy. Nęcił, pociągał ku sobie urokiem czarodziejskiego śpiewu Syreny, a jednak żal mi było opiekuńczego domu czcigodnej babki mojej, żal tej wsi ustronnej, spokojnej, błogiej, gdziem daleki od burz i zamętów świata (nieznanych mi wtedy jeszcze) snuł przez lat tyle nić złotą niewinnego bytu w ciepłem tchnieniu serc przychylnych, w żywotwornem tchnieniu natury! Od kiedym się dowiedział, że wkrótce na długo, daleko wyjechać muszę, droższemi stały się dla mnie Lulińce, ponętniejszemi doliny, lasy i pola, dziecinnej przeszłości światy! spokojnej duszy raje! Nie jeden wyśmieje mnie litośnie, gdy powiem, że gdybym miał prawo wyboru, wyrzekłbym się ochotnie dystynkcyi honorów, na jakie mię skazywano, a do których od lat najmłodszych żadnego nie przywiązałem znaczenia. Wolałbym tysiąc razy pozostać tem, czem byłem i tam, gdzie byłem i nie wiedzieć nic o tym wielkim świecie, co gdyby ocean przynęca i kruszy.

Dały dom luliniecki posmutniał gdy się o bliskim wyjeździe moim dowiedział. Sędziwa babka moja, zwykle pogodna i wesoła, mniej odtąd miała uśmiechu na ustach, nieraz boleśnie poglądała na mnie a modliła się częściej i dłużej. Przychylność starych sług i domowników (którym Bogiem a prawdą *titulo* trzpiota nie mało figielków w ciągu lat kilku napłatałem) rzewnie się także przejawiała w obec przygotowań poprzedzających zwyczajnie wyjazd wnuczka z domu kochającej babki. I mnie ich żal było opuszczać. Czułem, że nigdy ich więcej nie obaczę, bo mię świat uniesie, a ich mogiła pochłonie!

Kiedym pewnego wieczora dumał nad sadzawką, której toń spokojna gwiazd i księżyca odbiciem ośrebrzona, u nóg się moich kołysała, nadszedł stary Michał, najsędziwszy ze sług naszego domu i wziąwszy rękę moją ucałował ją ze wzruszeniem i zapłakał.

— Co z tobą? kochany Michale — zapytałem starca. — Na coś rękę moją ucałował? Jam prawie smarkacz jeszcze, a tyś sędziwy wiekiem, dostojny zasługą...

— Tyś krew i kości panów naszych! — przerwał starzec drżącym głosem. — Na co opuszczasz nas? Tu tak cicho i dobrze! tak wesoło i bezpiecznie! Żyje się uczciwie, po bożemu. Tu nie ominie ciebie błogosławieństwo nieba, nie ominie szczęście! A na świecie? O! nie to, mój panie, na świecie, co tu! Fałsz, bezbożność, oszczerstwa i zdrada rej wodzą. Strzeż swoją cnotę, bo ją oczernią; strzeż swoją spokojność, bo ją zatrują; strzeż kieszeń swoją, bo cię okradną! Albożnie? Nie przesadzam ja mój dobry panie, nie! Wszak bywałem i ja na wielkim świecie, w Warszawie, z nieboszczykiem panem moim J. W. Starostą horodelskim, świeć Boże nad jego duszą! Skoro się zjawił, (a wiedziano że bogaty) opadły go roje światowych wiercipiętów, sowizdrzałów, bałamutów, wykpigroszów, pieczeniarzy. Ten sobie doi, a ten sobie. W domu u nas, jak w dzwonie, huk, stuk, gwałt, tertes, harmider, aż uszy bywało pękają. I tak co dnia, od ranka do nocy, od nocy do ranka, przez trzy tygodnie! Nie było kiedy ani zmówić pacierza, a wysłuchać mszy świętej ani pójść do spowiedzi. Słowem żyło się nie po chrześcyańsku, po pogańsku! Aż mi się straszno robiło, że grzechy na sumieniu całą górą wyrosły!

— Czegoś tak nosa spuścił na kwintę, mój Michale? — rzekł pewnego dnia do mnie pan starosta. A ja jemu na to:

— Wybacz mi J. W. panie, co powiem. Takiego życia dłużej nie wytrzymam!

A on mi na to:

— I ja dłużej nie wytrzymam.

A ja mu na to:

— To nie gubmyż w tem przeklętem mieście duszy naszej, mój dobry panie! Wszak tu Sodoma i Gomora! Babilon zepsucia! Brama piekielna! Niech J. W. pan złoży na zamku pożegnalną atencyę królowi jegomości i wracajmy na Ukrainę!

To rzekłszy padłem do nóg J. W. panu staroście i zapłakałem. A on rzekł:

— Wstań mój Michale i zajmij się przyborem do drogi.

— Więc pojedziemy na Ukrainę? — zapytałem nie posiadając się z radości.

— Pojedziemy.

— Kiedy?

— Natychmiast.

— A u króla Jegomości..

— Nie będę! Ja nie potrzebny jemu, a on mnie! Wreszcie wszystko mi tu obrzydło, obmierzło i ludzie tutejsi i dzieła ich! Przypomniałeś mi wieś moją kochaną, dobrych poddanych, domowników, żonę, nad które po Bogu i ojczyźnie nic nie ma dla mnie droższego! Dziękuję ci, mój dobry Michale, dziękuję! Miałem

zamiar załatwić tu jeden ważny interes, ale Bóg z nim! Wracajmy do domu! wracajmy!

Rozbeczałem się jak smarkacz z radości i ucałowałem kolana pana mego.

Tegoż dnia opuściliśmy Warszawę.

Starzec zamilkł i czekał zapewne aż się odezwę, alem ja pozostał milczącym, pogrążony w trwożnem przeczuciu tych niebezpieczeństw, jakie mię na arenie wielkiego świata oczekiwały. Wiedziałem, że dla oparcia się im i wyjścia zwycięzko z walki potrzebna siła. Szukałem więc w sobie tej siły, szukałem jej z niespokojnością i zdawało się, że mi głos jakiś wewnętrzny obietnicą męztwa i wytrwałości odpowiadał, po wielu boleśnych próbach żywota wróżbą ulgi i błogosławieństwa boskiego pocieszał. I lżej mi się robiło, weselej. Spojrzałem dokoła—drzewa szemrały do mnie słowem zachęty i nadziei. Z kwiatów i ziół płynął ku mnie na powiewach wieczornych balsam spółczucia i miłości. Spojrzałem w górę — błękity bez plamy, blaski bez cieni, a jaki spokój! a cichość jaka i pogoda!

— Patrz Michale!—zawołałem—niebo i ziemia przemawiają do mnie wróżbą pomyślną. Pytałem sercem natury i ona mi światłością i pokojem odpowiada.

— Dałby to Bóg kochany panie! — rzekł starzec ze wzruszeniem. — Wszystko w mocy jego, złe i dobre!

— Nie inaczej! Wszystko w mocy jego — przemówił za nami głos poważny, zwracając się ku mnie.— Błogo temu, co w Bogu nadzieję pokłada, od Boga zaczyna i na Bogu kończy, albowiem on jeden miłością i prawdą! on jeden ucieczką i obroną! Pamiętaj o tem, synu mój, gdy z domowego zacisza wypłyniesz na ocean świata! Tam burze wieją straszliwe i smutny dramat rozbicia często się powtarza. Któż ci rękę poda w potrzebie? Kto kierunek ukaże? Żeglugę oświeci i nawę twą skołataną do portu doprowadzi? Nikt inny jeno Bóg wszechmocny i miłosierny! Na ludzi nie licz, oni bez serca!

Tak mówił ojciec Franciszek, reformat z Zorniszcz, kapelan domowy pani Starościny. Był to człowiek młody jeszcze, ale miał powagę starca. Pobożność jego tchnęła braterskiem pobłażaniem dla bliźnich, gorącą miłością dla Boga, a kiedy bywało stał u ołtarza, pogrążony całem jestestwem swojem, w uroczystości przenajświętszej ofiary, twarz jego blada, asketyczna, jaśniała dziwną jakąś światłością, jakby się przez nią blask jego duszy na zewnątrz przebijał.

A była to rzeczywiście czysta i promienna dusza! Gdzie tylko łza upadła lub się jęk odezwał, zastałeś tam na pewne ojca Franciszka. Koić boleści i łzy osuszać było dlań rozkoszą, szczęściem. Jakoż lud prosty i panowie kochali go i poważali, a ja mu niosłem cześć szczerą.

Wilią naszego wyjazdu odbyłem spowiedź przed nim i przyjąłem z rąk jego komunię. Słudzy i domownicy napełniali kaplicę. Po *ite missa est*! nastąpiły suplikacye. Potem zaspiewano chórem: Przed oczy Twoje. Smutno i uroczyście odbiły się w duszy mojej te śpiewy, poprzedzające blizką chwilę rozstania mego z tymi, co dla mnie tyle przychylności mieli, do których sercem przyrosłem.

Sędziwa opiekunka moja niemniej była wzruszoną. Modliła się i płakała. A kiedy się nabożeństwo skończyło powołała mię do siebie i dotykając krzyżem z relikwiami co na sobie zawsze nosiła, rzekła:

— W imię Ojca i Syna i Ducha świętego błogosławię ciebie wnuku mój na cnotliwe życie i na śmierć chrześcyańską!

— Amen! — odpowiedzieli przytomni połykając łzy rozrzewnienia.

Poczem ojciec Franciszek pokropił mię wodą święconą, dopuścił do ucałowania patyny i zmówiwszy cichą modlitwę na moją intencyę, pobłogosławił mię, kornie klęczącego u nóg jego.

Tej świętej i budującej sceny nic w pamięci mojej zatrzeć nie zdołało. Widzę dotąd wszystko, jak było. Widzę wszystkich, co tam byli. Żywo odczuwam w tej chwili, co wtedy czułem, z tą różnicą, że wkrótce powitam tych, com żegnał wtedy, bo oni w grobie i ja tam idę!

Nazajutrz opuściliśmy Lulińce. (C. d. n.)

GEMMA.

(Fantazya do muzyki.)

Na drodze życia, co wiodła bagnami
Spotkałem klejnot — z głazów, z chwastów kałem
Wzniosłem do słońca i obmyłem łzami
I jak się klejnot ten zwie? zapytałem...
Od morza czarna nadciągnęła chmura
I na mej drodze rzekła mi natura:
Gemma!
Później na drodze życia, co bitemi
Drogami wiodła szeroko, daleko,
Spotkałem postać z szaty jaskrawemi,
Złoto jej lśniło, jak na trumnie wieko,
A gdym zapytał, rzekła: Jam ci znana,
Anioł upadły, wszak bywałam zwana
Gemma!

I raz na łodzi, w pełnem morzu, nocą,
W blasku księżyca wiózł mnie wioślarz młody
Piał barkarolę z tęsknotą sierocą,
Żem ujrzał w falach kształt pełen urody,
Jak śnieżny łabędź z włosem rozpuszczonym
Płynęła w ciszy... pokój utopionym!
Gemma!
Już barkarola umilkła i fale
Szumią jak ongi o skały zatoki
I księżyc wschodzi z nad toni głębokiej
I arfę moją ściskam w ramion szale
A wioślarz szepcze — pamiętasz arfiarzu?...
A arfiarz szepcze — pamiętasz wioślarzu?
Gemma!

Ernest Buława.

PITAGORAS,

USTĘP Z DZIEJÓW HELLADY

skreślił

DR. WŁADYSŁAW DAISENBERG.

(Ciąg dalszy).

Na progu historyi greckiej spotykamy się z pierwszem zjawiskiem wysokiego znaczenia cywilizacyjnego, z wystąpieniem Likurga. Nie mamy jednak pewnych wiadomości, ani o jego życiu, ani o jego prawodawczej

działalności, nawet i czasu, w którym Lykurg żył, nie można dokładnie oznaczyć. Tego zdania są wszyscy nowsi historycy (*O. Müller, hist. Dor.* I. 7. 6.) a i Herodot wspomina tylko mimochodem o Lykurgu (I. 65), powiada jednak, że przed Lykurgem nie mieli Spartańscy Grecy żadnych stosunków ani między sobą, ani z obcymi, a ich prawo było z pomiędzy wszystkich Hellenów najgorszem. Co się tyczy politycznej konstytucyi, jaką Lykurg Sparcie nadał, to jest ona tego rodzaju, w jakim nam Homer owoczesny ustrój państwowy helleńskich państewek przedstawia (*Grote l. c. 668*), coś na wzór konstytucyjnego królestwa. Dwóch królów ustanowił Lykurg wykonawcami uchwał senatu i ludu całego, lecz w całym ustroju politycznym Sparty wiał przeważnie duch oligarchiczny. Zresztą w całem ustawodawstwie Lykurga przeważała strona polityczna nad społeczną; onemu zależało więcej na utworzeniu jakiegoś „wojowniczego bractwa“, jak na założeniu państwa jako organizmu społecznego. Ognisko domowe nie było niczem, ojczyzna była dla każdego obywatela wszystkiem; ale pod tą ojczyzną nie rozumiał Spartanin tych wszystkich skarbów duchowych, jakie my dzisiaj w ojczyźnie widzimy; przeciwnie Spartaninowi chodziło tylko o to, aby był niezwyciężonym, dla tego też jedyną prawie cnotą dla niego było męztwo, waleczność: w każdym widział on wroga, którego zwalczyć było obowiązkiem nie wchodząc w to jaką bronią, podstępem, gdzie się dało, a z bronią w ręku, gdzie inaczej nie można było. Nie dawno w Zgromadzeniu Narodowem francuskiem powiedział Dupanloup, że Prusacy są wielkiemi koszarami, ale daleko im od tego, aby być mieli wielkim ludem: to samo słowo w słowo da się powiedzieć o Spartanach, brak ludzkości stanowi wielką wadę w ich organizacyi społecznej, wadę będącą właściwością całego świata pogańskiego, lecz występującą u niektórych szczepów helleńskich n. p. Ateńczyków w barwach nie tak jaskrawych, jak u Spartanów. Ztąd też wypływa, że z Helotami postępowali sobie Spartanie w sposób tak bezecny i zbrodniczy, że nie wierzylibyśmy dziejopisom fakt ten poświadczającym, gdyby nie ta okoliczność, że go stwierdza historyk tak sumienny jak Tukidides (*IV. 80*). To żołnierskie wychowanie zapominające o wewnętrznej treści istoty ludzkiej a dążące do kształcenia walecznych żołnierzy, nie ograniczało się do mężczyzn, lecz miało i kobiety na oku. Ksenofon i Plutarch powiadają nam, że Lykurg przepisując surowe wychowanie dla dziewcząt, wychodził z tego stanowiska, że niewolnice mogą siedząc w domu prząść i tkać, lecz gdyby kobiety, mające być żonami Spartanów takiemu oddawały się zajęciu, nie można by od nich żądać tak świetnego potomstwa, jakie wydać na świat jest obowiązkiem wolnej spartańskiej kobiety. Dla tego też państwo wychowywało wspólnie nie tylko wszystkich Spartanów, lecz i wszystkie Spartanki, aby i te ćwiczyły się w gimnastyce, iżby same nabrawszy fizycznego zdrowia i fizycznej siły, zdrowych i silnych rodzić mogły żołnierzy. Z tej samej także przyczyny wpajano w kobiety spartańskie to przekonanie, że matki walecznych a zwłaszcza w bitwie poległych są najszczęśliwszemi, to też Spartanka żegnając syna idącego do boju, upominała go, aby powrócił z tarczą lub na tarczy t. j. aby zwyciężył, albo zginął, a po boju, który się skończył przegraną, cieszyły się i biesiadowały te Spartanki, których synowie zginęli, a smuciły się te, których synowie żywi powrócili. Ztąd to wyrodziło się w Lacedemonie ubóstwienie mocy i siły; własne matki przynosiły dzieci na ręku, ogałacono je z wszystkiej odzieży, rozciągano na ołtarzu Diany, biczując do krwi a często nawet aż na śmierć na cześć tej bogini. Pausaniasz mówi, że widok podobnych katuszy nie wzbudzał w sercach rodziców uczucia litości, więcej lękali się o to, aby dzieci nie okazały jakiejś oznaki słabości, niż żeby życie utraciły i dla tego też zachęcano je do wytrwałości; byli rodzice nawet najszczęśliwsi, jeżeli któreś z ich dzieci umarło w tych męczarniach, a to dla zaszczytu, jakiego dostępowała cała rodzina dziecka zmarłego przed odebraniem oznaczonej liczby razów, albowiem dziecko umarłe chowano kosztem publicznym, niesiono do grobu z koroną na główce i na cześć jego stawiano posąg, który to zaszczyt każdy Spartanin przedkładał nad najdłuższe życie. Dzieci, które zdawały się być brzydkiemi, niekształtnemi lub słabowitemi pozbawiano życia wrzucając do trzęsawisk. Wychodząc z stanowiska, że „wszystko dla państwa“, dla zabezpieczenia jego istnienia i dla zapewnienia mu przyszłości, wprowadził Lykurg wielką tolerancyę ze strony mężów co do stosunków małżeńskich. Zazdrości małżeńskich nie napotykamy w Sparcie, lecz Ksenofon (*Rep. Lac. I. 9.*) poucza nas, że bigamia była kobietom dozwoloną, jedna i ta sama kobieta mogła być żoną dwóch obywateli i matką dwóch rodów, podczas gdy mężczyznom nie wolno było dwóch żon posiadać i wyjątkowo tylko dozwolono to Anaksandridesowi (*Her. V. 39. 40.*) z względów politycznych. (*Gaume, dzieje życie rodz. t. I. str. 61 &c. Grote l. c. 696 &c.*)

Ze stanowiska dziejów cywilizacyi nie można winić Lykurga o wprowadzenie tak niemoralnych praw, bo prawdopodobniejszem jest, że jak to słusznie Duruy (*Hist. grecque str. 33.*) podnosi, Lykurg nie wymyślił praw, jakie wprowadził, lecz tylko zwyczajom owoczesnym nadał moc prawa, zresztą żył on z pewnością nie wcześniej jak na 800 lat przed Chrystusem: więcej zadziwia ta okoliczność, że Spartanie nie podjęli się w ciągu dziejów reformy tych swoich tak nieludzkich praw. Schiller też słusznie powiada, że ustawodawstwo Lykurga jest dopiero pierwszą studencką próbą młodocianej epoki świata, której zbywało jeszcze na doświadczeniu, na jasnym na świat poglądzie i na poznaniu prawdziwego stanu rzeczy, lecz zarazem jest ono krokiem olbrzymim naprzód już przez to samo, że usiłuje wykonać dzieło sztuki z wolności człowieka, którą do jego czasów rządził przypadek i namiętność (*Ustawod. Lyk. i Sol. t. II. str. 1212 dwutom. wyd. dzieł Schillera*).

O historyi Sparty przed Lykurgem nie mamy żadnych wiadomości, cała przedlykurgowska jej przeszłość jest mgłą tajemniczości pokryta, podobnie jak i obie wojny messeńskie, o których z pewnością tylko tyle wiemy, że Sparta wyszła z nich zwycięzko a Messene swą niezawisłość raz na zawsze utraciła; wojny messeńskie były późniejszemi od prawodawstwa Lykurga, lecz czasu ich dokładnie oznaczyć nie można, najwcześniejsze źródła spartańskie powiadają tylko, że „ojcowie naszych ojców zdobyli Messenę“. Późniejsze dzieje Sparty mają za jedyną treść boje z sąsiadami celem podbicia tychże i rozszerzenia się poza pierwotne swe granice; w bojach tych z Tegeją, Mantineją, Argos ostatecznie wychodzili Spartanie zawsze zwycięzko, bardzo korzystne strategiczne położenie Sparty i wojowniczy charakter Spartanów, ich waleczność i wytrwałość, były przyczynami najgłówniejszemi tych zwycięztw. W wieku szóstym a zwłaszcza w jego pierwszej połowie Sparta była najsilniejszem państwem helleńskiem i wszystkie też państwa helleńskie, często bardzo niechętnie za takie ją uważały, a Herodot opowiada (I. 69) że Krezus niepokojony przez Cyrusa i Persów w skutek polecenia bożego udał się o pomoc do Hellenów a właściwie do Spartanów, jako pierwszych

z Hellenów, ztąd więc widać, że i barbarzyńcy uważali podówczas Spartanów za najpotężniejszy lud helleński.

Obok Sparty Sikion, Korynt i Megara były wielkiemi miastami a tem samem i państwami morskiemi. Korynt już w VIII wieku zakładał kolonie, głównie on także uwolnił morza helleńskie od piratów *(Tuk. I. 13)*, on także staczał pierwszą bitwę morską *(r. 664 z Korkyrą Tuk, I. 13.)* W Koryncie pierwotnie panowali królowie z rodu Heraklesa, następnie była forma rządu oligarchiczną, a w VII wieku zawładnął Koryntem despota Kypselos. W tymże czasie tak samo jak i w Koryncie przyszli do władzy i w Sykionie i w Megarze despoci, w tej ostatniej Teagenes, w tamtym pierwszym Ortagoras.

W historyi helleńskich plemion pojawia się to zjawisko, że pierwotni królowie, początkowo może i potrzebni dla energiczniejszej obrony przeciw napastniczym mieszkańcom gór *(Duncker l. c. t. III. str. 602 etc.)* prawie wszędzie równocześnie zmuszeni byli zdać swą władzę w ręce oligarchów, dopokąd znów jaki despota nie przyszedł do władzy, poczem albo lud sam sobą rządził, lub oligarchowie napowrót wracali. Grote *(l. c. t. II str. 8)* sądzi, że królów w późniejszych czasach Hellady dlatego nie napotykamy, że z przyczyny rozdrobnienia się w państwo-miasta byli oni zupełnie niepotrzebnymi. Ten duch anti-monarchiczny helleńskich ludów gniewa historyków monarchicznego sposobu myślenia, lecz w gruncie rzeczy był on (z wyjątkiem jednej Sparty) wypływem historycznej konieczności. Król mając sposobność prowadzenia wojen, uśmierzania buntów podbitych ludów, nie ma ani czasu ani sposobu popełniania bezprawiów, a gdyby je i popełniał. to wielkość państwa przeszkadzałaby rozszerzaniu się tego rodzaju wiadomości i mnożeniu malkontentów, gdy zaś przeciwnie w tych małych państewkach helleńskich o każdem bezprawiu przez króla popełnionem każdy obywatel wiedział. Herodot kładzie w usta Otanesa *(III. 80)* sposób myślenia Hellenów: „nie godzi się jednemu człowiekowi zdać panowanie nad nami, nie byłoby to ani pomyślnem, ani dobrem. Monarchia mogąca postępować bez odpowiedzialności, według upodobania, nie może być dobrą. Gdyby i najlepszego człowieka królem zrobiono, samodzielność zmieniłaby jego dotychczasowy sposób myślenia; doszedłszy do wielkości i panowania staje się człowiek pysznym, zazdrosnym jest człowiek już z natury, a z tych dwóch wad płynie wszystko złe, albowiem wiele okropności czyni człowiek częścią z pychy, częścią z zazdrości; tak też i monarcha zazdrości najlepszym z obywateli, że im się dobrze powodzi, a znachodzi swe upodobanie w najgorszych, potwarzy słucha z przyjemnością, jeżeli go chwalą tak, jak na to zasługuje, gniewa się, że nie więcej go wychwalają, jeżeli go zaś więcej wychwalają, przychodzi do przekonania, że mu pochlebiają; a co najgorsze, król obala prawa ojczyste, gwałci kobiety i zabija bez wyroku i bezprawnie.“ Istotnie też dzieje helleńskich państw pouczają nas, że wszyscy politycy helleńscy byli antimonarchicznego sposobu myślenia, lecz różnili się w wyborze środków, które miałyby monarchię zastąpić; jedni jak Otanes byli za demokratycznym samorządem gminy, inni jak Megabyzos za oligarchią arystokratyczną t. j. jak Megabyzos się wyraża, „za rządem najlepszych, między którymi i m y także będziemy, albowiem najlepsi będą i najlepiej radzić“ *(Her. III. 8)*. Ależ nietylko z winy królów samych przepadły królewskie rządy helleńskich plemion, po części, może nawet po większej części było to winą lub zasługą (jak się podoba wyrazić każdemu według jego sposobu myślenia) obywateli zamożniejszych, którzy będąc pod każdym względem nawet i co do swego pochodzenia od bohaterów, królom równi, zazdrościli im ich wyższego stanowiska i bądź gwałtem, bądź podstępem starali się wyzuć królów z ich korony. Jednakowoż główną i najgłówniejszą z przyczyn, które sprowadziły upadek królestw helleńskich, było ubóstwo królów, albowiem królowie małych państewek nie mogli być bogatymi, gdyż wcale nie wojując, albo chyba z równie biednymi, nie mieli sposobności gromadzenia bogactw nawet i w razie odnoszenia zwycięstw, a wystawność nieodłączna od owoczesnych królestw domagała się coraz hojniejszych wydatków, coraz większych bogactw, podczas gdy obywatele byli w możności gromadzenia skarbów w drodze olbrzymich przedsiębiorstw handlowych, których się podejmować królowie już jako królowie, ze względu na swe stanowisko, nie mogli.

Miejsce królestw zajęły w całej Helladzie o l i g a r c h i e, tak że w siódmym wieku znachodzimy wszędzie, tak w samej Helladzie, jak i we wszystkich helleńskich koloniach, rządy oligarchiczne. Pierwszem następstwem tych zmian było odłączenie władzy prawodawczej od wykonawczej i oddanie pierwszej w ręce zgromadzeń a drugiej w ręce urzędników wybieranych na pewien przeciąg czasu, po upływie którego do odpowiedzialności pociągać ich można było. Przez to władza straciła owo znamię, z królewską godnością jak najnierozłączniej powiązane, wypływania z w o l i i ł a s k i b o ż e j, i stawała się władzą z w o l i n a r o d u.

Jak oligarchia wypłynęła z królestwa w skutek niezadowolenia małej liczby możnych malkontentów, tak znów i oligarchiczne rządy miały także malkontentów, którzy dążyli do obalenia tychże. Na czele tych niezadowolonych stawał zazwyczaj jeden człowiek, bardzo często nawet jeden z oligarchów, a obaliwszy rządy oligarchiczne, bądź gwałtem, bądź podstępem, obejmował sam rządy państwa w swe ręce. Tak powstały t y r a n i e czyli d e s p o t y e, jakie w VII i w VI wieku u Hellenów także prawie wszędzie napotykamy; tych tyranów rządy stanowią najsmutniejszą chwilę w dziejach Hellenów, prawie zawsze mieli oni na baczności, jak się Tukidides *(I. 17)* wyraża, tylko własne cielsko i własny dóm, dlatego też tyrani byli w Helladzie nie do opisania znienawidzonymi *(Soph. Antig. 737)* a mordercom ich oddawali Helleni prawie boską cześć, jako „przywrócicielom wolności“ *(Grote l. c. t. II str. 23 i 416 uw. 28)*. Lecz zwyczajnie rządy tyranów nie były długotrwałymi, ich synowie byli pożądliwszymi jak ojcowie a przytem nie mieli energii i roztropności, przez które ich ojcowie dostali się do steru i dlatego znachodzili silniejszy opór, który ich zawsze pozbawiał władzy rządzenia a bardzo często i życia.

(C. d. n.)

Przegląd literacki.

Luczkiewicz Antoni, d y r. ż e ń s k i e g o s e m. p e d a g. **Szkolnictwo**, na podstawie historycznego rozwoju i zasad wychowania, podług planu przepisanego dla seminaryów nauczycielskich. str. 274. Lwów, nakładem Gubrynowicza i Schmidta 1872.

Sprawa wychowania młodych pokoleń jest zawsze i wszędzie, w każdym kraju i w każdej epoce, najważniejszem z zadań społecznych, bo ono stawia kamień węgielny przyszłości; w naszym atoli narodzie obowiązek dobrego wychowania młodzieży ciężyć powinien bardziej

niż gdziekolwiek na sumieniu obywateli, a dziś bardziej niż kiedykolwiek, dlatego nic pożądańszego w tej chwili nad zjawienie się książki o wychowaniu, a to tem więcej, że dział pedagogiczny nie należy u nas do najobficiej uprawianych. Lecz potrzebnąby była książka, któraby z prostszej, mniej skomplikowanej podstawy, śmielej i jaśniej dążyła do swego celu i przedmiot swój traktowała bardziej wyczerpująco, aniżeli to czyni książka pana Łuczkiewicza. Na tłumaczenie autora da się wprawdzie powiedzieć, że był skrępowany zbyt obszernym i zbyt skomplikowanym planem, który przepisała Rada szkolna, życząca sobie mieć rodzaj encyklopedyi szkolnictwa — w kilkunastu zaledwo arkuszach druku. Nie mniej przeto jest prawdą, że spotykamy się tu z najgłębszemi i najtrudniejszemi kwestyami psychologicznemi, wcale niedostatecznie traktowanemi, bo zaledwo, że tak powiem, zadraśniętemi przez autora; mamy przegląd dziejów wychowania, od czasów najdawniejszych wcale pobieżny; mamy nakoniec część trzecią zastosowawczą, bez wątpienia, najlepszą z całego dzieła, ale która także jest za treściwą i żadną miarą wszystkim wymogom podręcznika odpowiedzieć nie może. Naszem zdaniem, gdyby autor był mógł pierwszą i drugą część swego dzieła, a więc $^2/_3$ całej objętości książki, streścić w krótkim wstępie, a resztę tomu poświęcić li kwestyom praktycznego zastosowania, które tak dobrze pojmuje, byłby uniknął miejsc mętnych w części filozoficznej, konieczności dotykania kwestyi psychicznych, zbyt jeszcze wątpliwych w dzisiejszych czasach, by o nich cokolwiekbądź można powiedzieć w podręczniku i byłby napisał książkę znakomitą a właśnie taką, jakiej nauczycielom ludowym najwięcej potrzeba. Żałujemy, iż tykał dogmatu. Po co np. nauczycielowi ludowemu wiadomość, której mu p. Ł. apodyktycznie udziela, że P. Bóg jest szczerym duchem (str. 23)? Nauczyciel, który się o tem nie dowiedział z katechizmu, z pewnością nie uwierzy na słowo p. Ł.; o ileż pożyteczniejszym za to byłby tutaj, zamiast prostego tego twierdzenia, nie uczącego nic, ustęp o stosunku człowieka do Boga, stosunku, z którego wynika, iż człowiek widzi i widzieć powinien w Bogu wszech-ideał dobra, piękna, sprawiedliwości i cnoty?... W innem miejscu (str. 3) p. Ł. zapewnia, że stworzenia niższe organizacyą od człowieka „nie są ożywione duchem nieśmiertelnym;“ po co tykać tych kwestyi, które tylko wątpliwości budzą w dzisiejszych czasach, a apodyktycznie z góry ani się rozstrzygnąć, ani przygłuszyć nie dadzą? Ogłaszać dogmata, rzeczą jest kościoła a nie szkoły. Na każdym prawie kroku razi także wygłaszanie twierdzeń psychologicznych, dziś już, z postępem tej nauki, przebrzmiałych i za fałszywe powszechnie uznanych. Szczególnie w definicyach bywa autor częstokroć nazbyt powierzchownym i nieuważnym. Już samo silenie się na definicye *côute que côute* w tych nawet razach, gdy one są niepodobnemi, uważamy za trud częstokroć jałowy, a cóż dopiero gdy wypadają one tak niejasno i błędnie jak np. twierdzenie, jakoby sumienie było: *„zdolnością doznawania* li tylko *wewnętrznej rozkoszy z dokonanego dobrego czynu.“* Zresztą jednak spotykamy w tem dziele, nawet w części filozoficznej, wiele bardzo myśli zdrowych, trzeźwych i prawdziwie płodnych, które tem mocniej rażą przeciwieństwem z owem, tylko co wytkniętem, a zupełnie zbytecznem dogmatyzowaniem. Gdybyśmy szereg tych myśli podniesienia godnych wypisać tu chcieli, przekroczylibyśmy o wiele granice naszego rozbioru; dlatego wolimy zachęcić czytelnika, by sam książkę całą przeczytał, przekonani, że, pomimo wytkniętych wad, braku przytem systematyczności w wykładzie, a ztąd i częstych powtarzań się, pożytek z niej wyciągnie wielki i gruntowny. Co mniej łatwo nam jest wybaczyć autorowi książki, która ma służyć za podręcznik nauczycielom ludowym, to niesłychaną ilość językowych i stylowych błędów, z których niejedna doprawdy, że wywołuje zgorszenie; nie możemy nawet wcale wybaczyć tego lekceważenia ojczystej mowy, w dziele tego rodzaju, mającem służyć za codzienną wskazówkę nauczycielom ludowym narodowego języka w warstwach ludności, gdzie on najmniej dobrze znany.

Żeby nie uledz zarzutowi, iż oskarżamy nie wskazując *corpus delicti*, zacytujemy tutaj kilka z błędów językowych, ale tylko kilka, na pierwszych zaraz stronnicach.

1. Co do rządu czasowników przeczących, (błąd niesłychanie u nas rozpowszechniony, a niemiłosiernie rażący ucho każdego Polaka z innych okolic).

Na samym wstępie w pierwszym wierszu przedmowy znajdujemy takie wyrażenie: „Potrzebę troskliwego szerzenia oświaty *nie* oceniali należycie częstokroć nawet (tu, pod względem stylu, trzy przysłówki jeden po drugim) światli mężowie stanu...“ Dalej na tejże stronnicy (pierwsza stronnica przedmowy), o kilka wierszy niżej: „...przeraźliwe krzyki... nie doprowadziły rządzących i naród do poznania“ etc. Dla czytelnika prawdziwa zagadka do rozwiązania: Autor jest-li tego zdania, że czasowniki przeczące rządzą i rządzić powinny przypadkiem drugim (co jest niezaprzeczonem nietylko w polskim języku ale i we wszystkich słowiańskich, z wyjątkiem moskiewskiego który dziś dopiero tworzy swoją gramatykę, gwałt zadając właściwościom własnym, dla dogodzenia pseudo-uniwersalnym prawidłom gramatyki powszechnej)? — wynikać to się zdaje z tego, że, wiedziony potrzebą polskiego ucha, pisze: „krzyki nie doprowadziły rządzących;“ czyli też sądzi autor, że czasowniki przeczące, wbrew polskiemu poczuciu z germańska i z łacińska, rządzić winny przypadkiem czwartym, pisze albowiem także: „Potrzebę nie oceniali,“ „Krzyki nie doprowadziły naród“ i t. d.? Może też autor i w pierwszym przypadku daje tylko przypadek czwarty, podobny w tym razie do drugiego? Jest tu i inny jeszcze błąd. W polskim języku do użycia przy czasownikach przeczących, są łączniki przeczące. Nie pisze się: „krzyki nie doprowadziły rządzących i narodu,“ ale się pisze: „krzyki nie doprowadziły rządzących ni narodu“ etc... Któregoż Polaka nie urazi dalej takie wyrażenie: „Wszelka nauka nie rozbudzająca myślenie,“ zamiast „wszelka nauka nie rozbudzająca myślenia...“ Z flegmą coś podobnego przeczytać może chyba tylko Niemiec.

2. Jeszcze co do rządu czasowników, jakkolwiek już nie przeczących. P. Ł. pisze (str. 6 w. 20): „..pewne korporacye rzeczywiście starały się owładnąć wychowanie publiczne.“ Któryż Polak nie napisałby raczej: „Pewne korporacye rzeczywiście starały się owładnąć wychowaniem publicznem?“ W języku polskim, tak bogatym w różnorodne nadzwyczajnej delikatności odcienia, czasownik: owładać rządzi przypadkiem czwartym tylko w sensie czysto materyalnym i w stosunku do przedmiotu czysto materyalnego... I tak np. można powiedzieć: „Wojownik ten owładnął kraj bogaty i żyzny“ — niepodobna wszakże powiedzieć inaczej, jak: „owładnął umysłem żony, sercem przyjaciela, wychowaniem dzieci, owładnął tłumami“ itd. We wszystkich tych razach, gdzie chodzi o owładnięcie moralne (jak rzecz się ma i w okresie autora) czasownik: owładać, rządzi przypadkiem szóstym.

3. Ponieważ mówimy o czasownikach: na to mamy w języku naszym formy częstotliwe, żeby ich uży-

wać, gdy nie chodzi o czyn jednorazowy, ale o powtarzający się, lub który powtarzać się musi. Dlatego nie polskiem jest wyrażenie użyte na str. 6: „Pewne rządy zaprowadzały w szkołach język niezrozumiały, ażeby młodzież z nauki nie mogła odnieść korzyści, lecz żeby tylko w zarozumiałości tem niedołężniejszą się stała.“ Skutek, na który autor zwraca tutaj uwagę, nie należy do rzędu takich, coby, raz się objawiwszy, zapadały już w przeszłość niepowrotnie; powtarza się on owszem, odnawia bezustannie; raczej trwa ciągle, dopóty, dopóki usuniętą nie została przyczyna; forma częstotliwa jest tu przez samą naturę rzeczy wskazaną i dlatego Polak by napisał: „żeby tem niedołężniejszą się stawała“—tembardziej, że wyżej w tymże okresie sam autor napisał „rządy zaprowadzały,“ a nie „zaprowadziły.“

4. Nie napisze również (str. 2) autor władający dobrze polskim językiem: „Nie inaczej więc jak rolnik nie jest twórcą wewnętrznego wzrostu roślin“ (że już nie pytamy czy szczęśliwem jest w tym wypadku to wyrażenie: być twórcą wewnętrznego wzrostu?), daleko łatwiej jest powiedzieć, gdy już o to chodzi: „Jak rolnik nie jest twórcą wewnętrznego rozrostu roślin... tak“ i etc.

5. Równie nie wiemy czy po polsku jest pisać (*loco citato*), że rolnik przez troskliwą uprawę zyskuje rośliny; to czysty giermanizm; po polsku mówi się i pisze zwykle: „Rolnik, przez troskliwą uprawę otrzymuje dorodne rośliny etc...“

6. Wadliwą także, i to bardzo, jest na str. 8 fraza: „Znany powszechnie chłopski rozum prędzej i lepiej sobie radzi, niż uczonego.“ Stosownie do tego, co autor zamierzał wyrazić, trzeba było powiedzieć: „Rozum chłopski prędzej sobie radzi od uczonego (rozumu)“: albo też „Rozum chłopski prędzej sobie radzi, niż rozum uczonego (męża).“

7. Pomijamy, nakoniec, zaniedbania stylu, w tym rodzaju (str. 2): „Człowiek... musiałby zrzec się swego wzniosłego stanowiska, jakie“... Wystarczało: „Wzniosłego stanowiska, jakie“... Swego tu zbyteczne i razi. Albo też (tamże): „Zbiór tych wszystkich czynnoćci i wpływów, które w tym celu przedsiębrane bywają, ażeby umożliwić i t. d.“... Czyż nie łatwiej i nie składniej byłoby powiedzieć: „Zbiór tych wszystkich czynności i wpływów przedsiębranych (jakkolwiek przedsiębrać wpływy jest także co najmniej dziwacznem) w celu umożliwienia i t. d.“

Pomijamy te zaniedbania i grubsze jeszcze błędy stylu (niech czytelnik zważy, że wszystkie te usterki, cośmy dotąd wykazali, zebrane zaledwo na 10 pierwszych stronnicach), bobyśmy nigdy nieskończyli; niemniej przeto, powtarzamy po raz trzeci, boleśnem jest, że dzieło tak wadliwie napisane, jakkolwiek zkąd inąd wiele mające zalet, bezustannie będą mieli przed oczami ci właśnie, których pierwszym obowiązkiem będzie uczyć młode pokolenie dobrego mówienia i pisania po polsku.

Lekceważenie, z jakiem się obchodzimy z językiem naszym, jest godnem największego pożałowania, jest to jedna z największych krzywd, jakie wyrządzamy narodowi.

Największą zasługą p. L. jest, iż zacytowawszy dosłownie znaczną część przepisów naszej komisyi edukacyjnej, odnowił niejako dla naszych nauczycieli ludu to obfite źródło narodowych myśli i natchnień w przedmiocie pedagogii.

Żałujemy mocno iż dla wykazanych wyżej powodów językowych, nie możemy dzieła tego polecić publiczności równie gorąco, jakbyśmy byli tego pragnęli.

Wiadomości naukowe, literackie i artystyczne.

ESTETYKA. *Egger Alois. Vorschule der Aesthetik, ein Lehr- und Lesebuch.* Wien. Hölder 1872. W dobrze obmyślanej metodzie wykłada istotę piękna i artystycznej fantazyi, charakteryzuje pięć głównych działów sztuki wraz z krótkim streszczeniem historycznego tychże rozwoju. Dodane przykłady objaśniające, rysunki dzieł znakomitszych i konstrukcye form technicznych.

NAUKI SPOŁECZNE. *Revue de deux mondes* zamieszcza nader zajmujące rozprawy, Emila de Laveleye: *„Les formes primitives de la proprieté“* i Alfreda Maury: *„Le Socialisme au XIX siecle.“*

TEATR i SZTUKI PIĘKNE. Sezon benefisowy obiecuje być w tym roku bardzo świetnym. Program częściowo już jest ułożony. Wybrali. p. Ładnowski: *„Króla Jana,“* Szekspira: Podwyszyński: *„Sen nocy letniej.“* tegoż; Kwieciński: *„Wesele Figara,“* Beaumarchais'ego; pani Linkowska: *„Wesołe kobiety z Windsoru.“* Szekspira; panna Deryng podobno: *„Antygone,“* Sofoklesa. Słyszeliśmy także o *„Cydzie“* Corneille'a, *„Królu Lirze“* i *„Egmoncie.“* Ze sztuk oryginalnych pojawia się: *„Elekcya króla Michała.“* dramat historyczny *Bron. Komorowskiego* i *„Zaklęty dwór.“* opracowanie sceniczne znakomitej powieści *Wal. Łozińskiego*, dokonane przez *Mieczysława Chrzanowskiego.* Niech więc przynajmniej artyści dbają o repertoarz, skoro dyrekcya postanowiła już nas zamęczyć *„Patrolem nocnym“* i *„Pensyonarkami.“* — Teatr *krakowski* zostanie w tych dniach otwarty dramatem zaleconym przez komisyę konkursową: *„Przeor Paulinów.“* — W teatrze *warszawskim* przygotowują na scenę Szekspirowskiego: *„Makbeta.“* Główne role: pan Królikowski i pani Rakiewiczowa. — Teatr *poznański* objął stanowczo pan Zygm. Sarnecki i rozpoczyna przedstawienia d. 1 Października.— Jutro otwarty będzie we *Wiedniu* nowy teatr Laubego (*Stadttheater*) dramatem Fr. Szylera: *„Demetrius.“* — *Leon Laya*, znakomity komedyopisarz francuzki, wsławiony autor: *„Duc Job,“ „l' Etourneau“* i wielu innych, powiesił się dnia 5 b. m.

— Pani *Marya Grottger-Sawiczewska*, siostra drogiej pamięci artysty, znakomicie wykształcona śpiewaczka, uczennica pani Passi-Cornet, przybędzie w tych dniach do Lwowa dla dania koncertu. We Wiedniu, zkąd przyjeżdża, dała się bardzo zaszczytnie poznać w kołach muzykalnych, posiadając głos piękny, altowy i wyborną metodę. Nie wątpimy, że publiczność licznem zebraniem się na koncert, złoży hołd jej talentowi i jej imieniu.

— *Leopold Steinmann*, utalentowany rzeźbiarz, od paru dni bawi w naszem mieście. Wychowaniec berlińskiej Akademii sztuk pięknych pierwszemi pracami swemi dał się poznać zaszczytnie w Wielkopolsce. Wykonał tam popiersia hr. *Macieja Mielżyńskiego* i *Karola Marcinkowskiego*, o których krytyka nader pochlebne wyraziła zdanie. Ostatnią pracą tego artysty jest medalion nieodżałowanej pamięci *Stanisława Moniuszki* z maski pośmiertnej, odznaczający się wielkiem podobieństwem i poprawnością wykonania. Sądzimy, że nieartystycznie wyglądający Lwów skorzysta z pobytu w nim artysty-rzeźbiarza.

Składka na fundusz szkół ludowych.

Tadeusz Rudyński 3 złr. — Konopacki 1 złr. — A. M 20 ct. — Z kwotą poprzednią 42 złr. 20 ct.

KORESPONDENCYA od REDAKCYI.

Autorom poezyi: „Bajeczka.“ „Endymion.“ „Upiory,“ „Polski Ares.“ „Zaśpiewana.“ Nie będą drukowane. — *Panu W. T.* w *S.* Przekład poematu Ossyana: *„Komala“* drukowany nie będzie. — *Panu A. S.* w *K.* Akcya kupiona. Wkrótce szczegółowy rachunek. — *Korespondentowi* w B. Brak nam miejsca. — *Panu P.* w *P.* Rozprawa: *„O fizyognomistyce“* nie odpowiada programowi naszego pisma. — *Panu* B. S. w L. *Księga przyrody* Szedlera wyszła w Warszawie i kosztuje 5 rs. — *Kasynu w Wieliczce*: 2 złr.

Właściciel i wydawca: Bronisław Zawadzki. Redaktor odpowiedzialny: Zygmunt Ułanowski. Z drukarni J. Dobrzańskiego & K. Gromana.